

## „Nie chcemy wiedzieć”

„To przecież mógł być ktoś inny” – myślałem przy oglądaniu fotografii z lat życia ojca, wątpiąc, czy widoczna na zdjęciu postać w brązowym mundurze NSDAP to rzeczywiście był mój ojciec. Tego rodzaju świadome opóźnianie akceptacji dowodów i prawd nie jest niczym niezwykłym, gdy wychodzące stopniowo na światło dzienne fakty zmuszają do przerwania dotychczasowego wygodnego milczenia. „Nie miał z tym nic do czynienia, a jeśli już, to tylko na marginesie, był szefem władz cywilnych, nie służył w gestapo” – taką i podobną formę przybierały różne myśli, wydumane wątpliwości i rzekome dowody, będące w istocie niczym innym, niż mechanizmami wyparcia. Także w moim domu rodzinnym przez lata poruszano się wąską ścieżką między „nie trzeba wiedzieć” a „nie chcemy wiedzieć”. Uciekanie się do wątpliwości, aby szerokim łukiem obejść prawdę, to długa, początkowo wygodna droga. Kiedyś jednak strategia ta przestała działać, zaczęła zawodzić, zawężyły się oczka sieci, która dotychczas przepuszczała wiele faktów. Coraz trudniej było wyciągać na pokład przeładowaną sieć i coraz większego wysiłku wymagało skrupulatne dopasowanie jej zawartości do zamierzonego kontekstu.

W moim notatniku znajduje się zapis ze stycznia 2004 r.: „powrót wrocławskich Żydów”. Czego dotyczy? Dowiedziałem się mianowicie o kolejnym wydarzeniu związanym z moim ojcem. Latem 1941 r. naczelnik okręgu Greiser zarządził deportację do getta łódzkiego około trzech tysięcy Żydów z Włocławka, członków rodzin Żydów wysłanych do prac poza gettem. Zarząd Getta podniósł

ponownie kwestię finansowej rekompensaty za zakwaterowanie i wyżywienie tej „niezdolnej do pracy” grupy. Doszło do opóźnień w realizacji zarządzenia, ojciec miał zapewne nadzieję, że żądanie rekompensaty za każdego deportowanego do getta Żyda z Włocławka uniemożliwi wykonanie planu<sup>256</sup>. Podczas gdy jemu samemu i Zarządowi Getta chodziło wyłącznie o kwestię administracyjną i finansową, w moim zapisanym z pamięci śnie przeżyłem zupełnie inną scenę: ojciec mógł odesłać Żydów z powrotem do Włocławka, aby otworzyć im drogę ucieczki i oszczędzić losu „osiedlenia” w getcie. Jedno z „wcielen” mojego ojca dało mi znak. We wspomnianym śnie życzenie przesłoniło rzeczywistość, tak jak podczas malowania znika podkład pod warstwą gęstej, olejnej farby.

## Szelki

„16 czerwca 1942 r.: polecenie wpłaty do głównej kasy Zarządu Getta na sumę 7,00 RM od pana nadburmistrza Ventzkiego na zakup 2 par szelek i 2 par podwiązek” – czytam w łódzkim archiwum<sup>257</sup>. Nawet jeśli uznać ten dokument, niższej może rangi, za wyraz absurdu i perfidii, przyznać trzeba, iż stanowi on świadectwo pruskiej biurokracji, w której absolutnie nic nie mogło przepaść bez śladu. To, że mój ojciec chciał zapobiec opadaniu spodni i skarpet przy pomocy wykonanych zapewne przez Żydów lub należących do nich szelek i podwiązek, nie byłby pozbawione pewnej dozy humoru, gdyby nie rozgrywająca się za kulisami tragedia. 18 grudnia 1942 r. Hans Biebow nabył „z zasobów getta” obrączkę za 2500 RM, uzyskawszy uprzednio – jak wynika z dokumentów – zgodę bezpośredniego przełożonego, mojego ojca<sup>258</sup>. Faktyczna wartość obrączki musiała być znaczenie wyższa, ale getto oferowało możliwość „okazyjnych” zakupów. Nie, nie jest to już dobrze nam znana „zwykła” prosta lub niemiecka biurokracja i wierność

przepisom. To biurokracja ludzi postępujących ze świadomością współuczestnictwa w grabieży, prześladowaniu i zagładzie zdanych na ich łaskę i niełaskę Żydów.

Wypisywano pokwitowania przyjęcia zrabowanego mienia żydowskiego, wystawione na formularzach z nagłówkiem „Nadburmistrz – Zarząd Getta”, listy, rachunki, poświadczenia. Wyliczano, dodawano, odejmowano, korespondowano i argumentowano. Urzędnicy wykonywali te czynności niczym hanzeatyccy kupcy, zarządzający w swoich biurach towarami z całego świata i zonglujący rachunkami. Ileż „biurokratycznej” pogardy stało się tu zjawiskiem tak powszechnym, że coraz trudniej mi patrzeć na pojawiające się w dokumentach nazwisko ojca. „To przecież tylko nazwisko”, usłyszałem niedawno radę, która miała mnie uchronić przed zbytnim zagłębieniem się w czarną dziurę. Istniało niebezpieczeństwo, że już nie zdołam się z niej wydostać. Czarna dziura stała się dla mnie jasno rozświetlonym pomieszczeniem, w którego centrum stoi nie nadburmistrz Litzmannstadt, lecz mój ojciec, Werner Ventzki, który mnie spłodził i który jest identyczny z osobą nadburmistrza, sprawującego nadzór nad drugim co do wielkości utworzonym przez nazistów gettem.

Podczas moich wypraw w otchłań regularnie natrafiam na ową – uważaną za szczególną niemiecką zaletę – biurokrację, we wszystkich jej perwersyjnych formach.

„Dzień w Litzmannstadt” to tytuł rubryki z lokalnymi wiadomościami w „Litzmannstädter Zeitung”. W sobotę 21 lipca 1941 r. ukazała się tam następująca relacja:

Po raz pierwszy, drugi i trzeci (...). Wiele zamieszania na aukcji Zarządu Getta Litzmannstadt. (...) Tłok panujący wczoraj rano przy Spinnlinie 45\* udowodnił duże zainteresowanie tego rodzaju wydarzeniami w Litzmannstadt. Oferty padały jedna po

---

\* Obecnie ulica Wólczańska (przyp. tłum.).

drugiej. Wśród uczestników przeważała płeć piękna. I nic dziwnego, na aukcję trafiły przecież przedmioty, na widok których silniej bije serce kobiety: dywany, porcelana, kryształy, zegary, srebra, zastawy, meble. (...) Mimo upływu godzin nie słabło żywe zainteresowanie publiczności. Na miejsce nielicznych osób, które opuszczają miejsce aukcji, pojawiały się natychmiast rzesze kolejnych. Przybyło ich tak wielu, że wejście na salę musiało zostać tymczasowo zamknięte. (...) Sceny zamierzonego lub przypadkowego humoru dały też powód do śmiechu. W ten sposób aukcja wyzbyła się typowego poważnego charakteru podobnych handlowych wydarzeń i nabrała chwilowo wręcz festynowo-radosnej atmosfery.

Również w taki sposób zrabowane mienie żydowskie trafiało w ręce nowych właścicieli.

## Fotografia

Maj 2001 roku. Od mojej pierwszej podróży do Łodzi minęło zaledwie kilka dni. Nie zdążyłem jeszcze wszystkiego uporządkować, ułożyć w poszczególnych szufladkach do późniejszej głębszej analizy. Wciąż zbyt mocno przeplatają się myśli i wrażenia z odwiedzin w moim rodzinnym mieście. Raptem pojawia się nowe wyzwanie: obraz, który na długo nie da mi spokoju. Moja córka woła mnie do swojego biurka i pokazuje fotografię mężczyzny w partyjnym brązowym mundurze NSDAP. „To przecież dziadek”, stwierdza stanowczo, choć bez zdenerwowania, jak gdyby nie była zaskoczona poczynionym właśnie odkryciem. W rękach trzyma edycję tygodnika „Der Spiegel”, nr 22 z 2001 roku. Na stronie 162 widnieje kolorowa fotografia z wizyty Henricha Himmlera w łódzkim getcie 6 czerwca 1941 r. Scenę uwiecznił pochodzący z Saalfelden w Austrii Walter Genewein, kierownik finansów niemieckiego Zarządu

Getta w Łodzi. Genewein, syn kupca, uczęszczał do Akademii Handlowej, następnie pracował jako akwizytor. Wstąpił do NSDAP, a w 1940 r. przyjął ofertę utworzenia wydziału księgowości przy Zarządzie Getta w Łodzi/Litzmannstadt. Istniało wtedy duże zapotrzebowanie na fachowców ze „starej” Rzeszy i z terenów Austrii – tzw. „Ostmark”. W niemieckim Zarządzie Getta przydała się jego fascynacja fotografowaniem, powierzono mu zadanie – o czym opowiada wspomniany już film *Fotoamator* – wykonania serii zdjęć działających w getcie fabryk, przede wszystkim w celu udokumentowania dla zleceniodawców ich wydajności. Głównym odbiorcą wyrobów produkowanych w ramach pracy przymusowej przez ludność getta był niemiecki Wehrmacht, ale mile widzianymi klientami były również prywatne firmy z Rzeszy, jak choćby Neckermann, Alsterhaus Hamburg czy AEG-Telefunken. Genewein kierował też obiektyw na sceny uliczne w getcie, na jego zdjęciach wszystko zdaje się jednak uporządkowane i dalekie od faktycznych katastrofalnych warunków. Te zaś udokumentowane zostały po kryjomu przez żydowskich fotografów, którzy zdołali ukryć aparaty przed prześladowcami\*.

Nie po raz pierwszy widzę zdjęcie, na które zwróciła mi uwagę córka. Zetknąłem się z nim już w 1990 r. podczas wystawy o łódzkim getcie w Muzeum Żydowskim we Frankfurcie, gdzie w dopasowanej do ekspozycji formie jego powiększenie zajmowało połowę jednej z tablic. Dużo silniejsza od wrażenia jednej fotografii okazała się wtedy moja pierwsza bolesna konfrontacja z tematyką getta w Łodzi. Rodząca się wówczas pewność co do stanu wiedzy ojca o masowych zbrodniach na Żydach sparaliżowała moją zdolność do sensownej analizy poszczególnych świadectw. Kolejny raz – pisałem już o tym – zobaczyłem zdjęcie podczas pierwszej wizyty

---

\* Większość zachowanych zdjęć z łódzkiego getta była wykonywana oficjalnie przez fotografów zatrudnionych w Wydziale Statystycznym administracji żydowskiej getta. Najbardziej znanymi z nich są Henryk Ross oraz Mendel Grossman (przyp. konsult.).

w Łodzi w 2001 r., w pełnych zakamarków pomieszczeniach na poddaszu starej kamienicy. I raptem teraz ta ostrożna, może zbyt ostrożna próba zbliżenia do wspomnianej sceny skupiła się w jednej myśli, zajmującej mnie i moją rodzinę przez wiele następnych dni: czy fotografia rzeczywiście przedstawiała mojego ojca? Może to nie on, może wszyscy byliśmy w błędzie? Czy wątpliwości nie są uzasadnione? Walter Genewein był pedantem. Jego kolorowe zdjęcia – w oryginale diapozytywy o nieco zielononiebieskim lub brunatnym zabarwieniu – odkryte w roku 1987, były przejmującym znaleziskiem, bo w swym zimnym wyrazie i zarazem pozornej beztroście stanowiły wizualizację cynizmu. Dokumenty Geneweina wywołują irytację, odzwierciedlenie znajduje w nich bowiem „zamarły w obrazach wyraz tego, co Hannah Arendt nazwała banalnością zła” (Hilmar Hoffmann)<sup>259</sup>.

Genewein, jako pracownik i kierownik wydziału niemieckiego Zarządu Getta musiał wiedzieć, kim byli fotografowani przez niego niemieccy urzędnicy i funkcjonariusze. Również wówczas, gdy latem 1941 r. oficjalną wizytę w Litzmannstadt składał Heinrich Himmler i przy okazji odwiedzał getto. Z samej wizytacji zachowały się cztery diapozytywy, z których jeden stał się powszechnie znany.

Wzrost temperatury, „która przekroczyła 30 powyżej zera; słoneczne, piękne dni”<sup>260</sup>, odnotowuje *Kronika getta* w pierwszym tygodniu czerwca 1941 roku. W niedzielę 8 czerwca „Litzmannstädter Zeitung” donosi na stronie tytułowej nagłówkiem „Reichsführer SS Heinrich Himmler w Litzmannstadt” o inspekcji Reichsführera. Gazeta: „W piątek w godzinach popołudniowych, w ramach podróży po Kraju Warty, Reichsführer SS Himmler w towarzystwie namiestnika Rzeszy i naczelnika okręgu Arthura Greisera przybył z krótką wizytą do Litzmannstadt. W przystrojonym odświętnie holu hotelu Generał Litzmann, przed którym wystawiona została straż SS, Reichsführera i towarzyszące mu osoby powitał prezes rejencji i inspektor okręgu Uebelhoer, komendant odcinka SS – SS-Brigadeführer

Fiedler, nadburmistrz Ventzki, prezydent policji SS-Brigadeführer dr Albert, komendanci wszystkich czynnych w Litzmannstadt placówek SS oraz liczni inni przedstawiciele partii i organów państwa (...)\*\*. Dwa zdjęcia, z których jedno ukazuje mojego ojca w grupie wspomnianych osób, dawały czytelnikom obraz wydarzeń. Odwiedziny gościa tak wysokiej rangi w mieście stanowiły naturalnie nie lada gratkę dla każdego fotografa. Także Walter Genewein nie przepuścił okazji. Zawczasu zajął odpowiednią pozycję, gdy Reichsführer SS przejeżdżał służbowym autem z rejestracją „SS-1” przez bramy getta przy Rynku Bałuckim (Baluterring) i krótko później zasięgał informacji o pracy Żydów u Przełożonego Starszeństwa Żydów, Chaima Mordechaja Rumkowskiego.

Zachował się we wspomnieniach następujący dialog: „Jak się tu miewacie?”, pyta Himmler. „Pracujemy i budujemy tu miasto pracy”. „I jak idzie praca?”. „Myślę, że nieźle. Mam nadzieję, że będzie lepiej. Robię wszystko, by zintensyfikować i ulepszyć pracę. Moją dewizą jest: praca, spokój i porządek”. „Niech pan dalej pracuje dla dobra swoich braci w getcie, a wtedy będzie wam dobrze”<sup>261</sup>. Na zdjęciu widać Himmlera na siedzeniu obok kierowcy w służbowym samochodzie, otoczonym przez grupę funkcjonariuszy, zapewne członków SS i gestapo w ciemnoszarych i czarnych mundurach. Nadaje to całej scenie jednolitą, szaro-czarną, mroczną atmosferę, zakłóconą trzema różnej wielkości elementami kolorystycznymi, które sprawiają, że wszystko wydaje się bardziej realne.

W ubranym po cywilnemu mężczyźnie pośrodku grupy z lewej strony, z charakterystycznymi siwymi włosami, łatwo rozpoznać Chaima Rumkowskiego. Tuż obok, po jego lewej stronie wyróżnia się inna postać, której ubiór stanowi kolejny kolorystyczny dodatek, i której nie jestem w stanie zapomnieć: nigdy wcześniej nie widziałem mojego ojca tak wyraziście w jego brązowym mundurze partyjnym, ale też nigdy wcześniej nie odczuwałem tak silnej

---

\* Wyróżnienie w oryginale (przyp. tłum.).

potrzeby zwątpienia w tożsamość widocznej na zdjęciu postaci. Dzisiaj wiem, że moje wątpliwości były wyrazem klasycznego mechanizmu wyparcia. To zadziwiający proces – widzenie świata tak, aby bardziej odpowiadał naszym własnym wyobrażeniom, aniżeli rzeczywistości. Nie uniknąłem go, mimo że posiadałem coraz silniejsze dowody. Widoczny na pierwszym planie w grupie po lewej stronie, zwrócony plecami do obiektywu niemiecki funkcjonariusz odróżnia się od otoczenia przede wszystkim kolorem munduru. Ma jeszcze na sobie brązowy uniform NSDAP z czerwoną opaską ze swastyką na lewym ramieniu, dopiero później dołączy do szaro-czarnej kolorystyki członków SS. Już w Łodzi, podczas zwiedzania wystawy o getcie przyszła mi do głowy myśl, że zdjęcie musi przedstawiać mojego ojca, uległem jednak stwierdzeniu mego ówczesnego towarzysza, który na moje pytanie odparł ostrożnie: „może to on, może ktoś inny”. Wtedy obyłem się bez dalszych wyjaśnień. Tym silniej odczułem teraz ponowną, nieoczekiwaną konfrontację z tym samym zdjęciem, zredukowanym do formatu 14 cm na 9,5 cm w magazynie „Der Spiegel”. Czuję, jak rusza zapowiadająca się od dawna lawina. Coraz silniej narzuca się pytanie: „Czy zwrócona plecami do fotografa postać w charakterystycznym brązowym mundurze partii nazistowskiej przedstawia mojego ojca?”. Od tej chwili obraz ten nie opuszczał moich myśli i prześladował mnie na każdym kroku. Nie byłem w stanie zaznać spokoju, z jednej strony prawdopodobieństwo stawało się coraz większe, z drugiej regularnie budziły się we mnie wątpliwości. Wbrew pozorom, mojej sytuacji wcale nie ułatwiał fakt, że chodzi o wyjątkowo dobrą i wyraźną kolorową fotografię z roku 1941, która – pomijając przedstawioną na niej scenę – właśnie dlatego pojawia się w różnych publikacjach ostatnich lat. Sprawa była bardziej skomplikowana, to zresztą dość częste zjawisko, gdy wszystko na pierwszy rzut oka wydaje się proste. W obliczu przewagi logiki, dowodów i związków przyczynowo-skutkowych uruchamia się mechanizm obronny. Wśród mojego rodzeństwa i w kręgu najbliższej rodziny dominowało co prawda



przekonanie, że na zdjęciu widoczny jest mój ojciec. Nie zagłuszyło to jednak wątpliwości. „Może chodzi o kogoś innego, jesteś pewien, że to nasz ojciec?”. Za szczególną, dobrze znaną w rodzinie oznakę rozpoznawczą ojca posłużyć mogły jego dość duże uszy, linia włosów na karku, postawa i wysoka, szczupła sylwetka. W czasie inspekcji Heinricha Himmlera ojciec dopiero od czterech tygodni piastował stanowisko nadburmistrza Litzmannstadt. Zarząd Getta był już wówczas podległą nadburmistrzowi instytucją miejską. Podczas oficjalnych okazji, jak właśnie wizyta Reichsführera SS, imprezy partyjne czy jubileusze, nadburmistrz nosił zawsze swój brązowy służbowy mundur. Znalazłem dotychczas niewiele zdjęć, przedstawiających ojca jako nadburmistrza w cywilnym ubraniu. Zgodnie ze zwyczajem protokolarnym, jaki pruskim przykładem obowiązywał również w czasach dyktatury nazistowskiej, zignorowanie przez młodego nadburmistrza miasta wizytacji w getcie byłoby nie tylko gafą, ale wręcz obrazą wobec wysokiego gościa z Berlina. Getto nie było tajemnicą, a już z pewnością nie stanowiło wyłącznej domeny SS, policji i gestapo. Posiadało szczególny status jako jedno z niewielu znajdujących się pod zarządkiem władz komunalnych gett w Kraju Warty. Kontekst sceny uwiecznionej na zdjęciu nie pozostawia wątpliwości – na prawo od mojego ojca stoi przewodniczący Judenratu, Rumkowski, rozpoznawalny po siwych włosach i naszytej Gwieździe Dawida, a nad lewym ramieniem mojego ojca widać zapewne głowę Hansa Biebow, kierownika niemieckiego Zarządu Getta i podwładnego nadburmistrza. W miarę jak zdobywałem wiedzę o strukturach administracji i władzy w Łodzi/Litzmannstadt, nabierałem coraz większej pewności przy ocenie zdjęcia. Ostateczną jasność dała mi wskazówka berlińskiego historyka Petera Kleina, który zwrócił moją uwagę na amerykańską publikację autorstwa Isaiaha Trunka<sup>262</sup>. Na stronie 167 miała się tam znajdować interesująca fotografia. Istotnie, we wspomnianym miejscu znalazłem rozwiązanie wszelkich wątpliwości: książka Isaiaha Trunka zawiera kolejne zdjęcie z serii Wal-

tera Geneweina, a na nim scenę z tej samej wizytacji Himmlera w getcie, kilka minut później. Grupa przedstawionych osób odwraca się powoli od gotowego do odjazdu samochodu Reichsführera SS. Na lewym skraju widać wprawdzie nieco rozmytą, ale łatwą dla mnie do zidentyfikowania postać, która na poprzednim zdjęciu tak wyraźnie odcinała się od otoczenia brązowym kolorem partyjnego munduru, a teraz zwrócona twarzą do fotografa opuszcza miejsce zdarzenia. Nie mam już wątpliwości: nadburmistrz Litzmannstadt, Werner Ventzki, uczestniczył w wizytacji getta i wraca do swojego służbowego wozu.